



**BARTEK ZOBEK**

**O CALIĆ  
KADAM**

**HISTORIA OPARTA NA FAKTACH**

# **OCALIĆ KADAM**

**BARTEK ZOBEK**

**BOCACANGREJO, STYCZEŃ 2025**

**Ocalić Kadam**

Bartek Zobek

**Okładka i ilustracje:** Kaja Bojanowska

**Redakcja językowa:** Julia Zając, Aleksandra Sitkiewicz

**Korekta:** Aleksandra Sitkiewicz

**Rok wydania:** 2025

**Wersja e-book**

**Wydanie II, poprawione**

**Prawa autorskie:**

© 2025 Bartłomiej Zobek

Wszystkie prawa zastrzeżone. Żadne fragmenty tej książki nie mogą być kopiowane ani reprodukowane bez zgody autora.

# Spis treści

Wstęp .....	<b>5</b>
Część I .....	<b>7</b>
Prolog .....	7
Mapa Ugandy .....	10
Rozdział I. Nauka Ugandy .....	11
Rozdział II. Pierwszy chłód .....	74
Rozdział III. Ale Meksyk .....	153
Rozdział IV. Indiańskie dziedzictwo.....	241
Mapa Kadam .....	262
Część II.....	<b>264</b>
Rozdział I. Tajemnica Kadam .....	264
Rozdział II. Zwolnienie blokad.....	315
Rozdział III. Między magią a demonami.....	331
Rozdział IV. Rozpad ego .....	354
Rozdział V. Jutrzenka.....	394
Posłowie.....	<b>430</b>
Bonus .....	<b>433</b>

## **Szanowny Czytelniku, Droga Czytelniczko!**

Jeśli sięgnąłeś(-łaś) po tę książkę, spodziewając się typowej opowieści podróżniczej, przyznam szczerze – na początku ja również. Gdy po raz pierwszy zdałem, że pisanie dobiega końca, moje życie, a tym samym historia bohatera, zaczęło się jednak przewracać do góry nogami...

Poniższy tekst bazuje na notatkach podróżniczych, a przyczynkiem do jego powstania stały się prawdziwe wydarzenia, których doświadczyłem podczas kilku lat pięknych, a czasem dramatycznych przygód na pięciu kontynentach. Przemierzając Ugandę, Senegal, Namibię, Belize, Oman czy Kolumbię, nie miałem jednak pojęcia, że droga, którą zmierzam, prowadzi mnie w zupełnie inną, najważniejszą podróż – tę w głąb samego siebie.

Była to podróż wielowymiarowa i niełatwa. Między innymi dlatego w książce znajdziesz wzmianki o substancjach wykorzystywanych terapeutycznie, które w chwili publikacji nie są w Polsce legalne. Nie chciałbym, aby potraktowano te wątki jako zachętę do podejmowania ryzykownych działań. Te wyprawy w głąb siebie, mimo potencjału medycznego i niosących spore nadzieje wyników badań (m.in. wykorzystanie w terapii par, uzależnień, leczeniu lekoopornej depresji, zaburzeń lękowych, PTSD oraz zmniejszaniu trudności, z jakimi borykają się osoby w spektrum autyzmu), bywają trudne, a niewłaściwe stosowanie zamiast do uzdrowienia może prowadzić do traum.

Książka podzielona jest na dwie powiązane, lecz zasadniczo różne części. Pierwsza z nich pozwoli Ci, oczami bohatera – z jego wiedzą, wrażliwością i poprzez swoisty filtr (czy odgadniesz jego naturę przed bohaterem?) – podejrzeć kulturę oraz zwyczaje mieszkańców dalekich krajów, zwłaszcza Ugandy. Później z Afryki Zachodniej i Środkowej Azji wyruszysz do Ameryki Łacińskiej. Tam bohatera czeka pierwszy krok na zupełnie nieznaną drogę, o której traktuje część druga.

Niech zatem nie zdziwi Cię narracyjna ewolucja od podróżniczego dokumentu do powieści psychologicznej, zawierającej więcej intymnych przeżyć. Dzięki temu połączeniu przekonasz się, jak wiele łączy wyprawy mierzone kilometrami i te odbywane wewnątrz własnego umysłu. Drogę ku temu przejdiesz razem ze mną – i tak jak ja z czasem, tak i Ty być może z biegiem lektury poznasz i zrozumiesz drugie dno wcześniejszych wydarzeń.

Chociaż książka opiera się na faktach, z uwagi na moje i spotkanych przeze mnie osób bezpieczeństwo pewne elementy musiały zostać zmienione. Czasem jedna postać łączy

cechy kilku różnych ludzi. Podobieństwa do rzeczywistych osób mogą być przypadkowe. Prosiłbym więc, aby nie dociekać prawdziwych tożsamości postaci ani nie kierować do mnie pytań o kontakty do nich. Najważniejsze, by potraktować tę opowieść jako przestrogę i przypomnienie, jak piękne i kruche są nasze wnętrza.

Autor

PS Ze względu na obecność wątków dotyczących niedozwolonych substancji oraz scen intymnych książka przeznaczona jest wyłącznie dla osób dorosłych.

PPS Na koniec, w kwestiach terminologicznych – mam świadomość, że pierwotne znaczenie słowa „dżungla” odnosi się do lasów deszczowych w Azji. Używam jednak tego terminu w szerszym kontekście.

# CZEŚĆ I

## Prolog

Kładę się i zakładam opaskę na oczy. Tadeusz puszcza muzykę. Ale jest dla mnie za głośna. Przecież te dźwięki rozpraszają... Czy można ją wyłączyć?

– No ale na tym polega ta metoda – tłumaczy.

– A może być szum wody? Jak wtedy sam brałem, to słyszałem szum strumyka, a wspomnienia po prostu napływały – wyjaśniam. Tadeusz się zgadza, zmienia nagranie.

Ale to ma być szum? To dźwięk wody walącej z impetem o brzeg i dyskretnie wracającej w głębiny. Raz głośno, raz cicho. Ładnie to tak? Proszę o przyciszenie i Tadeusz przycisza. Próbuję się zrelaksować, ale z rytmu wybija mnie ten cały, niby spokojny, a w rzeczywistości hałasujący ocean. Chciałbym jeszcze raz poprosić Tadeusza o ściszenie, ale już mi głupio... Zaczynam się tłumaczyć, że mam wyostrzone zmysły, że słyszę fałszywe w piosenkach w radiu albo cichutkie dźwięki z daleka, niesłyszane przez innych, że czuję smród papierosa z pięćdziesięciu metrów. Tadeusz ponownie przycisza. I oczywiście za mało. „No kuźwa...” – myślę sobie. Zastanawiam się, czy zapytać ostatni raz. Jak tak dalej pójdzie, to chłop sobie wkręci, że jestem jakiś nienormalny. Zatem, urozmaicając nieco rozmowę, tym razem proszę Tadeusza o przyciszenie nie szumu, a głośnika. A on, niczym dzielny samarytanin, zawodowy pielęgniarz w prywatnym domu spokojnej starości, Syzyf roku, uzbiera się w cierpliwość i jeszcze raz ścisza. Teraz słyszę już swój oddech, dyskretny ruch Tadeusza na krześle, jakieś ciche, odległe, niewyraźne odgłosy z ulicy i... od czasu do czasu wszystko to zagłuszone niczym innym jak jebnięciem fali oceanu.

Gdy substancja w końcu zaczyna powoli mnie koić i puszczać blokady, pytam:

– To umysł nas prowadzi, a nie Bóg, prawda?

Mój sitter przytakuje, po czym sam pyta:

– A co zrobimy z resztą towaru?

– Mogę przechować go u ciebie? Stresowałbym się, wioząc go.

– Wolałbym nie... – Po chwili ciszy dodaje: – Ale coś wymyślimy.

No tak, terapeuta, zamiast solidarnie przeżywać ze mną dramatyczny szum wody, pewnie obawia się, że wpadnie tu zaraz policja. Swoją drogą, ciekawe, czy dostalibyśmy takie same wyroki?

– Wiem! – Triumfuję, jakbym wpadł na genialny pomysł. – Przecież niedaleko jest park, zakopię to. Będzie na następny raz.

- Myślę, że zakopywanie czegoś w parku może niepotrzebnie wzbudzić uwagę - komentuje Tadeusz, a ja wybucham śmiechem.

Uspokajam się i zamykam ponownie oczy. Czekam na te trudne wspomnienia. Miejmy to już za sobą...

Ale nagle, na przekór wszystkiemu, pojawia się twarz Soni. Cudnie uśmiecha się do mnie i ja też się zaczynam błogo uśmiechać. Nie mam z nią raczej żadnej traumy, chyba przeciwnie...

- No nie wiem... Sonia... - Wzdycham cicho, po czym kontynuuję spokojnym głosem, otulony coraz mocniejszym działaniem leku: - Spotykałem się z nią kiedyś, ale nie znamy się długo.

Dzielę się wątpliwościami, bo przecież spodziewaliśmy się z terapeutą thrillera, a nie romansu.

- Okej, może idź za tym - mówi łagodnie Tadeusz.

Zaczynam się głośno zastanawiać. Wyjaśniam, że widywaliśmy się przez parę tygodni, ale z czasem relacja była coraz bardziej skoncentrowana na seksie - według mnie dobrym zresztą, długim, dzikim... Czy powinienem mu opowiadać ze szczegółami?

Relacja z Sonią zaczęła rozjeżdżać się od drobnostek. Gdy raz odłożyłem oliwę po posiłku, dziewczyna szybko odwróciła ją przednią etykietą w naszą stronę. Wszystko miało swoje miejsce, wszystko było dobrze zaplanowane i przemyślane, jak w z pietyzmem reżyserowanym filmie, by widz nie zauważył cięć. To mnie trochę irytowało, a równocześnie rozumiałem ją, przecież sam miałem swoje nawyki. Wolałbym w ogóle nie zwracać uwagi na takie rzeczy.

Po upojnej nocy musiałem przenieść się na kanapę albo wyjść, bo nie mogliśmy spać razem. Budziło ją, gdy tylko się ruszyłem na łóżku. Z czasem nasza relacja stawała się chłodniejsza i coraz bardziej sportowa, aż Sońka przestała się odzywać. Być może to, że poprawiała po mnie nie tylko oliwę, było jedynie subtelnym przejawem jej intymnych, cichych demonów.

A teraz widzę, jak jej śliczna buzia promienieje i uśmiecha się do mnie. Mam ochotę pocałować ją czule w policzek. Jakby na powierzchnię wynurzyła się z powrotem cała moja czysta sympatia do niej, przypomnienie, że na początku przyciągnęła mnie do siebie właśnie tym pięknym szerokim uśmiechem i spontaniczną radością w oczach. Jakby późniejsze zapętlenie się w nieporozumieniach i przemilczanych zranieniach odciągnęło nas od tego, co najpiękniejsze i najważniejsze.

Tadeusz wychodzi do toalety. Wiem, że nie powinienem tego robić, ale nie mogę się powstrzymać. Sięgam po telefon i wysyłam jej esemes. Tadeusz wraca. Z terapeutą trzeba być szczerym, więc mu zaraz powiem, choć wiem, że tego nie pochwali. Zresztą przecież to



działa trochę jak serum prawdy, więc trudno byłoby się nie podzielić. Wyobrażam sobie alternatywną rzeczywistość, w której oskarżony i powód zgadzają się na przyjęcie leku przed zeznaniami. Nowy sądowy paradygmat.

Mówię Tadeuszowi, że wysłałem Soni wiadomość. Wyczytuję w jego minie mikroekspresję niezadowolenia. W tym momencie dostaję zwrotny esemes od Sońki. Czasem odpowiadała po paru godzinach, czasem po paru dniach. Czasem wcale. Teraz od razu. Jestem zdumiony. Przecież ta historia była zamurowana, mosty spalone, nadzieja wyklęta.

Odpowiedź Sońki porywa mnie prawie do nieba.

- Bardzo mi miło! :)))) Też się teraz uśmiechnęłam :)

Jakbym gdzieś głęboko w okowach zwodniczego umysłu miał ukrytą całą wiedzę, jak się komunikować nawet w najbardziej zagmatwanych relacjach. Czasem banalnie, lecz prosto z serca, czule otulając dumę i uprzedzenia.

Jeszcze nie zdążyłem nacieszyć się uczuciem do Soni, a uwolniony umysł już podsuwa mi kolejną konfrontację.

[...]



# UGANDA



*Trzy lata wcześniej...*

## **Rozdział I. Nauka Ugandy**

*Styczeń–marzec 2020*

### **Chłopcy nie płacą**

I cóż z tego, że zamiast w ciasnym busiku siedzę w autobusie, skoro biodra Ugandyjki zajmują prawie półtora siedzenia? Trzy godziny podróży z Jinjy<sup>1</sup> do Mbale to nieustanna walka o utrzymanie równowagi, a równocześnie ciągle zerkanie przez przednią szybę, czy wyprzedzający na trzeciego autobus zdąży z manewrem. W przypadku kolizji wystrzelę do przodu jak z katapulty. W Ugandzie wciąż pracują nad asfaltem i pasami bezpieczeństwa.

Dojeżdżamy do Mbale. Czas na przesiadkę do busa w kierunku Sipi. Od dworca autobusowego do parkingu dla busów dzieli mnie tylko dwieście metrów. I liczni taksówkarze, którzy mogą mnie przecież podwieźć. Urodzeni, żeby pomagać. Tak chętni, że idą za mną i przekonują, że mogę jeszcze zmienić zdanie.

Podchodzę do busów, gdzie naganiacze kulturalnie próbują wyrwać mnie sobie nawzajem z rąk. Jeden z nich mówi, że mogę siedzieć z przodu w aucie osobowym. Moja wyobraźnia robi mi dobrze perspektywą wygodnego rozłożenia się na dużym fotelu. Luksusy.

– Jedziemy? – pytam jednego z kierowców, widząc niemal komplet.

– Czekamy jeszcze na cztery osoby – odpowiada.

– Na cztery?!

– No tak: z tyłu cztery, z przodu dwie.

Nie wiem, czy to żarty, czy błąd w rachunkach. Ale skoro mam zaklepane miejsce z przodu, to niech tak będzie.

Gdy tylko jakiś motocyklista przywiezie nowego podróżnego, naganiacze startują do niego i licytują się, z kim pojedzie. Facet, który mnie werbował, ma coś jakby bulwy pod żuchwą, na czole i z tyłu głowy. Zastanawiam się, czy to jest trąd. Zerkam kątem oka na wypukłe czerwone zgrubienia i kusi mnie, żeby zapytać wprost, ale boję się reakcji. Dyskretnie sprawdzam w internecie symptomy choroby.

Gdybym tu był z moją znajomą, Anią, pewnie z marszu przeczytałaby parę rozpraw naukowych o trądzie. Kiedyś na niemal bezludnym, pocztówkoworajskim archipelagu Banyak w Indonezji pogryzły nas komary. Przez pół nocy biadoliła, że chyba umrzemy na

<sup>1</sup> Jinja – czyt. „Dżindza”.

malarię, aż sam zacząłem mieć obawy, które jeszcze długo potem zaprzętały moje myśli. Dwa tygodnie później na jednej z przytulnych wysp Perhentian w Malezji poczułem się źle, poszedłem więc do miejscowego lekarza. Był bardzo miły. Delikatnym głosem, podkreślając słowa lekko tanecznymi gestami, stwierdził, że to jakaś niegroźna infekcja wirusowa.

– A ile się należy – zapytałem?

– Nic. Tacy kochani chłopcy nie płacą – powiedział z maślanymi oczami i z zaskoczenia mnie przytulił.

Przytulenie jednak nie pomogło, nadal czułem się źle, więc niedługo potem, po dotarciu do Kuala Lumpur, poszedłem do szpitala na testy malaryczne. Na wszelki wypadek zrobiłem też badanie na dengę, bo trafiłem na hojnego ubezpieczyciela. Teraz myślę, że mógłbym sobie przebadać jeszcze więcej. Oba testy wyszły negatywnie, ale nikt mnie nie przytulił. Napisałem do Ani. Oczywiście o wyniku, a nie braku przytulania. Odpowiedziała, że się nie dziwi – wtedy na wyspie, gdy zapadłem już w sen, przeczytała w ciągu nocy dwie prace magisterskie na temat malarii i doszła do wniosku, że skoro prawie nie było tam ludzi ani innych ssaków, to nie miał kto roznosić takich chorób i komary musiały być zdrowe. Szkoda, że od razu mi nie powiedziała.

Tymczasem przewoźnicy upolowali kobietę. To znaczy – przekonali do jazdy z nami. Ta już prawie wsiadła do środka, ale widać, że się waha, chyba chce wysiąść. Naganiacz przekonuje ją... pokazując na mnie, tak jakbym miał być dowodem słuszności decyzji. No, może to taka lokalna atrakcja – przejażdżka z białym.

Sytuacja co chwilę się powtarza. Jakiś facet nawet ładuje się do środka, siedzi w tej całej spiekocie, ale po kwadransie nagle otwiera drzwi i odchodzi bez słowa. Tak to szybko nie zbieramy kompletu. Do tego jeszcze ekipa naganiaczy kłóci się ze sobą. Są dwa pojazdy, a sprzecza się jakieś pięć osób. Dochodzi do lekkich szturchnięć i plaskaczy. Tak, dają jednemu po pysku. Nie podoba mi się to i gdzieś z tyłu głowy włącza mi się od czasu do czasu lampka ostrzegawcza. Robię zdjęcie numerów rejestracyjnych i wysyłam znajomemu przez Facebooka. Jeśli trop po mnie zaginie, to skojarzy fakty. Raczej.

Podczas gdy moi potencjalni współpasażerowie migrują do i z auta, ja stoję na zewnątrz. Łapię cień za stojącym nieopodal busem, ale ten w końcu odjeżdża. Zatem nasz pojazd ma wreszcie pierwszeństwo w zbieraniu ludzi.

A jednak ten domniemany priorytet nie jest uznawany przez innego kierowcę, który nakłania nowo przybyłych, by wsiadli do jego auta. Dochodzi do sprzeczki między nim a rzekomo trędowatym. Będzie lanie? Tym razem kończy się na pogróżkach.

Po pewnym czasie z tyłu są już dwie osoby. Potwierdzam u kierowcy, że jeszcze jedna i jedziemy. Przychodzi matka z dzieckiem. A więc jest nas pięcioro. Nim zdążę zapytać, czy

możemy jechać, przychodzi jeszcze jedna kobieta i wpycha się na tylne siedzenie. Naprawdę nie chce poczekać na kolejne auto? To jest toyota, nie cadillac...

- Jedziemy? - pytam.

Nikt nie zdąży mi odpowiedzieć, bo właśnie podchodzi jeszcze jakiś facet, chce się dosiąść. Niewidomy czy co? Raczej nie, bo pokazuje mi moje siedzenie z przodu i widzę, jak mi się koleś ładuje na fotel. Przypominam, że ja tam mam siedzieć, i uprzedzam pana, zajmując swoje miejsce. Reszta pasażerów mówi zgodnie, że będziemy jechać we dwóch.

Powołuję się na umowę międzynarodową, którą zawarliśmy ustnie parę kwadransów wcześniej. Oni jednak upierają się, że tak się tu jeździ. Ech, trzeba było mi powiedzieć wcześniej, a nie mamć miejscem z przodu...

- To nielegalne i niebezpieczne - tłumaczę. Ja swoje, oni swoje. - A niby jak mamy się zmieścić we dwójkę przy moim wzroście? - pytam retorycznie.

- Weź go na kolana - mówi ktoś, a gość bez namysłu ładuje mi się na kolana. Pobzdziło chłopa? Fajnie, że jest taki otwarty na bliskie znajomości, tylko czy mógłby mnie najpierw zapytać, czy też tak lubię?

Sytuacja wydaje mi się nawet bardziej egzotyczna niż parę dni temu, gdy jadąc busem, odkryłem, że na podłodze koło mojej nogi siedzi kura i robi kupy.

Wypycham uprzejmie faceta, wyskakuję z auta i informuję kierowcę, że teraz będę nagrywał. Wyciągam telefon przed siebie i pytam stanowczo:

- Ile osób pojedzie z przodu?

Pasażerowie odwracają głowy, a kierowca rzuca pospiesznie, że jedna, i też się odwraca. Chowam telefon, chcę wsiadać, a oni, że pojedziemy z przodu we dwójkę. W mojej głowie siekiera, wykrzyknik, hash, trupia czacha i dla równowagi - baranek Boży. To chyba widać w moich oczach, bo kobieta z tyłu wysiada i woła:

- Skoro obiecaliście mi, że będzie jechał sam, to niech jedzie sam!

Chwila ciszy. Czekam na rozwój wydarzeń. Wsiadam do środka i widzę, że pan, który chwilę wcześniej pakował mi się na kolana, teraz bez słowa ładuje się do tyłu - na szóstego. Patrzę i nie wierzę, co to za szopka.

Przypomina mi się, jak po maturze wraz z wychowawcą testowaliśmy pojemność malucha Skromnego, naszego klasowego kolegi. Tylko gdy wtedy jechaliśmy pękającym w szwach samochodem, chodziło o dwie minuty zabawy nocą, a nie o godzinę w skwarze jak teraz.

Moje siedzenie jest maksymalnie wysunięte do przodu. Nie pojmuję, jak oni chcieli nas tu zmieścić we dwóch. Nawet na kolana by się nie wcisnęła. Spoglądam do tyłu, a tam kompresja lepsza niż w pliku RAR. Mówią, że tak się tu jeździ.

Po chwili zatrzymuje nas policja. Kierowca pośpiesznie zapina pas. Mundurowy spogląda na konfigurację z tyłu i wydaje z siebie wysoki pisk. Prosi kierowcę na zewnątrz z dokumentami. Kontrola trwa kilka minut. I co? Wszystko okej, możemy jechać dalej. Nauka Ugandy trwa.

Zatrzymujemy się na jakimś skrzyżowaniu. Siedzący dotąd spokojnie miejscowi rzucają się nagle w stronę naszego auta. Pod otwarte okna podstawiają napoje i jedzenie: banany i pomidory śliwkowe. Te drugie to botanicznie również owoce. Jedna z wielu pamiątek w Europie po Kolumbie, później przywieziona do Afryki.

Nie brakuje też ćapati, czyli placków pszennych smażonych na najtańszej mieszance olejów rozlewanej na płytowym woku. Idea przyszła z Indii, ale oryginalne ćapati są robione z mąki razowej i nie używa się do nich tłuszczu. Kiedyś w Ugandzie (a wcześniej Bugandzie) było sporo Hindusów, ale najwyraźniej za dobrze szły im interesy, bo w latach siedemdziesiątych XX wieku dyktator i ludobójca Idi Amin przepędził ich z kraju. Po politycznych zmianach zaczęli wracać. O panowaniu Amina opowiada film *Ostatni król Szkocji*. Ogląda się dobrze; stolica kraju, Kampala, na co dzień zakurzona, hałaśliwa i biedna, wygląda w nim jak po profesjonalnej charakteryzacji.

W miejscowości Sipi wybieram hotel Lacam, ujmująco wkomponowany w tropikalny ogród z punktem widokowym na dolny wodospad Sipi i z przyjemnym szmerem strumyka zasilającego drugi, mniejszy wodospad. Fantastyczne, relaksujące tło do zasypiania czy też nocnej obserwacji bajkowo rozgwieżdżonego nieba. Hotel zasypia już po godzinie dziewiętnastej, więc zamówienie gorącej herbaty okazuje się dużym wyzwaniem. Pierwszej nocy nie do podołania. Przyjechałem tu na parę dni z małym plecakiem, w krótkich spodenkach i podkoszulku, nie biorąc poprawki na wysokość terenu, czyli jakieś półtora kilometra nad poziomem morza.

Ostatecznie zamiast gorącej herbaty biorę z niedziałającej lodówki piwo z mieszanką przypraw masala i afrykańskim miodem, który prawdopodobnie, jak część serwowanych tu tzw. miodów, powstał ze smażenia bananów. Na szczęście gorąca woda pod prysznicem pozwala zrekompensować brak herbaty. Woda podgrzewana jest w zbiorniku, pod którym pali się ognisko pilnowane przez ochroniarza bezszelestnie obchodzącego teren hotelu.

## **Kameleony i niewolnicy**

Drugiego dnia ruszam zobaczyć kolejny, wyżej położony wodospad. Po drodze bramka – szlaki do wodospadów prowadzą przez prywatne grunty – ku uciesze miejscowych kasujących za każde przejście. Najtaniej wychodzi wykupić łączony wstęp do wszystkich wodospadów za trzydzieści tysięcy szylingów ugandyjskich, czyli równowartość około

trzydziestu złotych. Oprócz tego co chwilę napotykam samozwańczych przewodników, może nie tak nachalnych jak zanzibarscy majfrendzi<sup>2</sup>, ale równie chętnych do oprowadzania mnie wszędzie za pieniądze, o czym najczęściej informują później. Upieram się, że pójdę sam.

Za pierwszą bramką jest kolejna, a przy niej sklepik z rękodziełem i minerałami z pobliskiej jaskini. Siedzi przed nim zaczytany mężczyzna. Okazuje się, że jest pastorem zielonoświątkowców i czyta Biblię. Pyta, czy napiszę o nim w swoim reportażu.

Dobrze, że ruszyłem w południe, bo wszystkie wodospady położone są od północnej strony, więc dopiero po trzynastej zaczynają być dobrze widoczne. Atutem wodospadu Sipi II jest to, że można łatwo wejść za lustro wody. Mijam tutaj grupę czarnoskórych turystów, którzy zaczynają się wspinać na górę. Może warto?

Nad wodospadem, w strumyku, chłopak myje motocykl, inni robią pranie. Mokre ubrania leżą na trawie i skałach. Równikowe słońce wysuszy je w ciągu paru godzin. Jakieś dzieciaki przynoszą mi na patyku kameleona. Ze strachu podwinął ogon i zmienił kolor. Chcą pieniędzy. Pytam, czy następnym razem mogą mnie zawołać i powiedzieć, że pokażą mi jaszczurkę na gałęzi, jeśli im zapłacę. Konsternacja. Proszę, aby ją wypuściły. I wypuszczają.

Widzę, że turyści ruszyli dalej w górę potoku. Też idę, może będzie tam coś ciekawego. Okazuje się, że pół godziny spaceru dalej znajduje się jeszcze jeden wodospad, o czym nie miałem pojęcia. Manewrowanie między przecinającymi się ścieżkami uświadamia mi, że majfrend to byłby jednak ważny sojusznik. Po drodze mijam tradycyjne afrykańskie domki maniata zbudowane na planie koła, z trzcinowymi dachami i ścianami z patyków zalepionych błotem. Przechodzę między licznymi plantacjami kawy, której białe kwiaty wdzięcznie pozują do zdjęć. Część roślin zdążyła już nawet zaowocować i się zaczerwienić. Niedługo ukryte pod słodkimi łuskami nasionka trafią na maty rozłożone na drodze, by niespiesznie prażyć się na słońcu.

Dzieciaki czasem mnie zaczepiają i proszą o pieniądze. Niektóre chcą mi towarzyszyć za darmo. Zwracam uwagę na świnię buszującą bez powroza w krzakach. Podchodzą do niej i pokazują mi, jak lubi być głaskana. Też chcę pogłaskać, zbliżam się z obawą, a świnia rusza na mnie. Wycofuję się dyplomatycznie – czyli tak naprawdę uciekam.

Gdy tuż przed górnym (zwanym też pierwszym) wodospadem Sipi napotykam chyba już czwartą bramkę z licznym orszakiem powitalnym, usilnie chcącym skasować mnie na kilka dolarów, pytam, czy dzielą się tymi pieniędzmi z lokalną społecznością. Odpowiadają, że tak. To czemu dzieci żebrzą? Cisza.

<sup>2</sup> *My friend!* – z angielskiego „mój przyjacielu”, częsty slogan kierowany na powitanie zagranicznych turystów, za którym zazwyczaj kryje się chęć zarobienia pieniędzy.

Po krótkim flircie z wodospadem wspinam się na górę. Tu czeka na mnie przepiękna panorama: 360 stopni z wodospadem, górami stołowymi, górą Elgon, równinami i buszem. Znajduję punkt dający optymalne ujęcie do zdjęcia i zaznaczam miejsce w aplikacji z mapą. Obok pasterz pilnuje krów, które intensywnie liżą gołą jasnobrązową skałę, niemal szorują, bo aż słychać ich zaangażowanie. Podejrzewam, że chodzi o minerały, co potwierdza zapytany mężczyzna.

Gdy wracam, przy wodospadzie numer dwa spotykam chłopaka, który podsuwa mi niemal pod nos kameleona.

- A jakby ciebie ktoś przywiązał do gałęzi?

- Nie rozumiem.

Sięgam po telefon, włączam Google i po chwili pokazuję mu stare fotografie związanych czarnoskórych niewolników.

- To nie jest dobre.

- A kameleona pytałeś o zdanie?

- Zabrałem go z plantacji kawy.

- A ich złapano, bo nie zdążyli uciec.

## **Lizanie skał**

Na trzy kolejne noclegi przenoszę się do Sipi Lodge, oferującego bezapelacyjnie najlepszy bajkowy widok na wodospad, zwłaszcza gdy popołudniowe słońce rozpala go ciepłymi barwami podczas obiadu w ogrodzie między szesnastą a osiemnastą.

Chodzę boso po przystrzyżonej zielonej trawie i wielkiej drewnianej werandzie, przyozdobionej tu i ówdzie główkami beztrósko wbijanych gwoździ. Próbuję się dowiedzieć, czy można coś z tym zrobić.

- Tak - mówi Robert, menadżer. - Jutro będzie naprawione.

Udaje mi się też wyprosić umycie okien, przez które, leżąc na łóżku, mogę zobaczyć część wodospadu. Pani przynosi wiaderko, zanurza w nim dłoń, nabiera wody i chlapie nią szybę. Widocznie tak się tu myje.

W łazience pod prysznicem jest tylko jeden kurek - z ciepłą wodą. W zasadzie to z gorącą. Tak gorącą, że trudno się umyć. Oryginalne rozwiązanie. Ciekawe, ilu gości decyduje się poparzyć, ilu odpuszcza kąpiel, a ilu prosi personel o interwencję. Przy mnie nie będzie się nudzić.

Gorąca jest tylko woda, więc chętnie kupiłbym sobie koszulę. W lokalnym sklepiku znajduję taką za (w przeliczeniu) dziesięć złotych. Wygląda dobrze, pani mówi, że mój rozmiar. Gdy ją wkładam, rękawy ledwie sięgają nadgarstków. Kobieta przekonuje, że



pasuje. Chyba wieczorami dalej będę paradował przykryty ręcznikiem. Mój status zbliża się do lokalnej średniej – ludzie w wiosce chodzą w podartych ubraniach. Oprócz mnie nikt nie kupuje, a nawet nie ogląda towarów.

Myślę o rosnących obrotach branży tekstylnej, zapychającej szafy zachodnich konsumentów. Wyprodukowanie jednej koszulki bawełnianej pochłania 2500 litrów wody. Dżinsów – aż 7500. Zastanawiam się, czy lecąc w podróż do kraju rozwijającego się, można by zapakować nieużywane ubrania i rozdać je na miejscu. Przecież często ludzie latają z bagażem ważącym poniżej limitu.

Zastanawiam się nad różnicami między Ugandą a Zachodem. Snobistyczne w Europie awokado, którego produkcja przyczynia się do wycinek lasów deszczowych, tu w Ugandzie kosztuje czasem tylko czterdzieści groszy za sztukę. Przy tej różnicy cen i dobrej woli koncernów oraz najbogatszych państw świata można by rozwiązać parę problemów biedniejszej części Afryki. Zmniejszyć głód, śmiertelność, ograniczyć liczbę niechcianych i porzucanych dzieci, wypalanie lasów deszczowych, uratować wiele zwierząt. Afryki jednak nie stać na PR czy lobbing na wzór płonącej Australii.

Zainspirowany zachowaniem krów postanawiam również uzupełnić sole mineralne. Znajduję przy drodze dużą skałę. Gdy nikt nie patrzy, podchodzę do niej i liżę. Smakuje jak skała.

Wracam do hotelu, po drodze jakaś dziewczyna stoi przed domkiem, macha do mnie i woła: *welcome*. Nazywa się Mary i ma jakieś dziewiętnaście lat. Jest z siostrą, robię im zdjęcie, wtedy podbiega jeszcze dwójka dzieci. Dziewczyna przedstawia swoją rodzinę. Mają farmy bananowców, tu pod domem oraz na innej działce. Żegnam się i idę dalej.

– *Mzungu, Mzungu! Show me some pictures!*<sup>3</sup> – woła chłopczyk przed moim hotelem. Jego wielkie radosne oczy rozpalają się jeszcze bardziej, gdy do niego podchodzę. Po chwili oblega mnie już trójka dzieciaków, a ja pokazuję im zdjęcia rodzinnych stron: Beskidu Wyspowego i Mszany Dolnej odpoczywającej pod majestatem Szczebła i Lubogoszcza. Nie odrywają wzroku.

Powoli przyzwyczajam się, że co chwilę ktoś mnie woła i podpytuje. Jest to o tyle dziwne, że są tutaj też inni biali turyści, ale może wynika z tego, że głównie przesiadują w hotelach. Nie widuję ich na ulicy czy w afrykańskich restauracjach.

Parę godzin później, znów idąc do hotelu, słyszę wołanie. Być może na mnie, ale nie oglądam się. Po chwili krzyki stają się głośniejsze, więc wreszcie się odwracam. To znowu siostry, tym razem Patience i Grace, czyli Cierpliwość i Łaska. Jedna z nich mówi, że chce, abyśmy byli przyjaciółmi. Wprawia mnie to w zakłopotanie. Proponuję dodanie się na

<sup>3</sup> Pol. „Biały człowieku, biały człowieku! Pokaż mi jakieś zdjęcia!”. *Mzungu* [czyt. muzungu] – w języku suahili: biały, również potoczne określenie białego człowieka.

Facebooku, nie mogę jej jednak znaleźć, a ona nie ma przy sobie telefonu. Proponuję dziewczynom, żeby zapamiętały moje imię i nazwisko i mnie później dodały. Zlepek moich najbardziej osobistych liter alfabetu jest dla nich wyzwaniem. Czy zapamiętają?

## **Obrzezanie i inne zwyczaje**

Kolejna chłodna noc ponownie skłania mnie do podjęcia próby nabycia koszuli. Odkrywam jeszcze jeden sklepik z odzieżą. Mam parę sztuk na oku, chcę przymierzyć. Białą ściągą koszulkę – znowu sensacja w wiosce. Po chwili mam już kilku doradców. Wszyscy zachwyceni. Zarówno w przypadku zbyt krótkich rękawów, jak i wtedy, gdy wyglądam, jakbym był w worku.

Jedna z koszul jest bardzo ładna. Kolor, fason – glanc. Przy zgięciu rękawów czuję ucisk. Mówię, że za mała. Miejscowi uśmiechnięci kiwają głowami i przekonują, że idealna. Ostatecznie kupuję inną, o dziwo – w sam raz. Cieniutka przewiewna bawełna, pastelowe kratki. Płacę równowartość około dwunastu złotych. Mam w końcu fajną pamiątkę z Afryki. Pamiątką to taka rzecz, która ma przypominać miejsce nabycia. Patrzę na metkę: Bangladesz.

Zostały już tylko dwa zakupy: klej do naprawienia sandałów i plastry na otarcia od tychże. Apteka to budka z czterema półkami zasłoniętymi firanką chroniącą przed kurzem lub ciekawskimi spojrzzeniami. Aptekarz chce pół dolara za dwa plastry. Pytam, czy go Bóg opuścił. W końcu w tej samej cenie daje mi dziesięć plastrów.

Kolejny dzień. Schodzę pod trzeci, dolny wodospad. Tym razem w towarzystwie dwudziestolatka w przekręconej do tyłu bejsbolówce, znakomitego majfrenda, bo Job okazuje się elokwentnym i mądrym przewodnikiem. Opowiada mi o tutejszych zwyczajach – na przykład że ludzie piją wodę trzy razy dziennie. Że więcej nie potrzebują. Czyli tyle, ile ja w ciągu godziny. Tymczasem już pierwszego dnia zauważyłem, że wieczorem mężczyźni spotykają się, by delektować się tak zwanym piwem rzemieślniczym z fermentacji prosa. Napój taki przelewa się do plastikowego wiaderka po margarynie, z którego może być sączony rurkami przez paru facetów naraz, nawet przez kilka godzin. W cenie pięciu złotych można się dobrze zrobić.

To nie jedyny ich rytuał. Praktycznie każdego mężczyznę czeka obrzezanie, któremu towarzyszy trzydniowa ceremonia. Jak mówi przewodnik, ma to ich ochronić przed HIV, drożdżakami czy syfilisem. Później doczytuję, że choć nie wszyscy naukowcy są zgodni co do zmniejszenia ryzyka zakażeniem wirusem HIV, to obrzezanie często wiąże się z edukacją seksualną, czego efektem jest spadek ryzykownych zachowań i – faktycznie – również liczby

nowych zarażonych. Job mówi, że jakbym chciał, to mi zademonstrują obrzezanie. Nie chciałbym.

Zszedłszy do dolinki po stromych schodach, docieramy do jaskini. Czuwa przed nią mężczyzna pobierający opłaty od zwiedzających. Zanim będzie można normalnie iść, trzeba najpierw w kuckach prześliznąć się po niewygodnych skałach. Czuć wilgoć i rozkładający się mocz. Jest i opakowanie po prezerwatywach. Romantycznie sobie wybrali.

Strop skrzy się, odbijając światło latarki. To minerały. Dotknięcie ich kończy się ukłuciem – są ostre jak wata szklana. Tyle niebezpieczeństwa w kruchym pięknie.

Wychodzimy i ruszamy dalej. Podobnie jak w przypadku pozostałych wodospadów, tak i do tego droga prowadzi przez uprawy bananowców oraz pozostałości dżungli – całość tworzy wyjątkowo piękny krajobraz. Przy wodospadzie aż trudno się poruszać – woda, uderzając z impetem z wysokości stu metrów, tworzy chmurę kropelek, które potrafią opadać nawet kilkadziesiąt kroków dalej. Wydeptane ścieżki są ekstremalnie śliskie, ale z drugiej strony taki prysznic gwarantuje, że roślinność dookoła jest soczyście zielona i gęsta. Job mówi, że dobrze iść teraz, bo wcześniej nie dało się w ogóle zejść, tak było grząsko.

Ostatniego dnia przewodnik zabiera mnie do wodospadu Cebonet, który, choć bardzo podobny do pozostałych, zasilany jest innym potokiem. Po drodze dołącza do nas gromadka dzieciaków. Dwójka ma ze sobą opony i kije. Służą im do zabawy na w miarę równym terenie, ale chłopcy nie rozstają się z nimi, nawet schodząc po bardzo stromych metalowych schodach czy śliskim gruncie. Później będą je targać na górę. W klapkach.

Gdy fotografuję wodospad, dwóch chłopców wchodzi mi w kadr, czyniąc zdjęcie ciekawszym. Zaczynam szukać idealnego ujęcia tej scenki, a Job nagle płoszy dzieci, tłumacząc, żeby przestały mi przeszkadzać...

W drodze powrotnej przechodzimy przez wioskę. Pytam, czy możemy zajrzeć do jakiejś maniaty, czyli okrągłej lepianki. Okazuje się, że mieszka w niej tylko jedna osoba, kobieta około pięćdziesiątki. Na ścianie frontowej powiesiła plakat z papieżem Franciszkiem. W środku na ziemi widać drewno, garnki, miski, niedopalone ognisko, a pod sufitem – kolby kukurydzy. W ogródku rośnie krzaczek chili, ale owoce są wciąż małe i zielone.

– Czy mogę spróbować? – pytam.

– Lepiej nie, niedojrzałe, będą jeszcze gorzkie – odpowiada Job.

Ruszamy dalej, mijamy kolejne domki. Ściany niektórych z nich popękane są tak, że szczeliny układają się w finezyjne kształty. Dookoła rośnie dużo bananowców. Chłopak uczy mnie odróżniać żółte banany od zielonych *matoke*. Te pierwsze mają zielone łodygi, a ich owoce nadają się do jedzenia na surowo; łodygi drugich są ciemniejsze, zaś owoce gotuje się, jeszcze zanim dojrzeją.

Bananowce rosną bardzo szybko i po dziewięciu miesiącach dają owoce, mocno wyjąławiając glebę. Łodygami karmi się krowy, a ziemię nawozi się owocami kawowca, oczywiście po wyciągnięciu z nich pestek – te przecież pójdą do obróbki, co zresztą można podejrzeć na miejscowych plantacjach. Po chwili mijamy dwie kopy rozkładających się owoców. A nie można by z nich zrobić dżemu?

Mijamy jeszcze trzech mężczyzn siedzących na ławce i popijających pięćdziesięcioprocentowy bimbler z prosa. Każdy w koszuli. Na koszulach jednak spójność się kończy – spodnie jeden ma od garnituru, drugi dresowe, trzeci coś pomiędzy. Jeden bosy, drugi w klapkach, trzeci w gumiakach. Macham z pozdrowieniem, na co oni wołają mnie i chcą częstować alkoholem. Odmawiam. Nieopodal pod drzewem siedzi jeszcze kilku innych mężczyzn, którzy przyglądają się nam z zainteresowaniem. Obok stoi jakaś dziewczyna, może ich młodsza siostra, rąbie drewno wielką siekierą. Śmieje się, gdy robię jej zdjęcie.

– Czy mężczyźni nie rąbią tu drewna? – pytam Joba.

– Jasne, że rąbią.

– To dlaczego ktoś jej nie pomoże?

– Bracia pewnie by pomogli, ale widocznie są teraz zajęci – odpowiada przewodnik.

Nie mogę pojąć, dlaczego ona macha siekierą, a faceci sobie piją. Niedługo się przekonam.

## **Cóż za piękność?**

Oglądam okolicę na Mapach Google w telefonie. Zwiększam skalę. Widzę, że niedaleko, kilkadziesiąt kilometrów w linii prostej, są kolejne góry: Kadam<sup>4</sup>. Szukam zdjęć w wyszukiwarce... Mam! Olbrzymi masyw ze spłaszczonym szczytem robi na mnie wielkie wrażenie, więc od razu zaczynam rozpytywać, jak się tam dostać.

Kolejnego dnia motocyklista, zwany tutaj *boda-boda*, zwozi mnie z Sipi do podnóża góry Elgon, którą geografowie nazwaliby pewnie górami zrębowo-stołowymi. Jestem zatem około 1100 metrów nad poziomem morza. Stąd mam jechać jeszcze sześćdziesiąt pięć kilometrów do podnóża gór Kadam, choć sam nie wiem dokładnie, dokąd. Trafia mi się ciężarówka transportująca deski. Proszę o miejsce przy oknie i właśnie takie dostaję. Wsiadam do samochodu i widzę, że ktoś z ekipy kładzie się za fotelami. Przypuszczam, że za te dwadzieścia tysięcy szylingów (kilkanaście złotych), których sobie zażyczyli, sprzedali mi jego siedzenie. Cóż, i tak ma wygodniej niż ludzie jadący na deskach na pace. Siadam komfortowo i spoglądam przez szybę – rurka, do której przyspawano zewnętrzne lustro, cała pokryta jest ostrymi kolcami. To właśnie za ten element samochodu – jak tłumaczy

<sup>4</sup> Po angielsku *Mount Kadam* – zatem tłumacząc dosłownie: Góra Kadam.

kierowca – łapią się złodzieje, żeby podczas napadu wtargnąć do środka. Sprytnie zabezpieczenie, ale nie jestem pewien, czy ten widok i wyjaśnienie sprawiają, że czuję się bezpieczniej.

Okazuje się, że na całej drodze nie ma asfaltu, tylko klepisko upstrzone wielkimi dziurami. Czasami wyboje zamieniają się w sporych rozmiarów rowy, przed którymi kierowca na chwilę się zatrzymuje, żeby skonsultować z resztą najlepszy sposób na przeprawę. Dawno nie wytrzymało mi tak jelit. Mimo niewielkiej odległości mamy przed sobą trzy godziny drogi. Współczuję chłopakom na górze.

Pierwszy dłuższy przystanek następuje po pięciu kilometrach – zatrzymuje nas policja. Mundurowy każe kierowcy podejść i pokazać pozwolenie na przewóz. Zanim szofer wyjdzie z samochodu, gość z ekipy transportowej, pewnie ich szef, przekazuje mu dyskretnie „pozwolenie” w formie kilku banknotów. Jakiś atawistyczny głosik z tyłu głowy każe mi szykować się do ucieczki. Przypuszczam, że do duszenia w zarodku takich właśnie pomysłów służy wyekspozowany karabin drugiego gliniarza.

Policjant nie zwraca w ogóle uwagi, że nie mamy zapiętych pasów. Czepia się trochę o ludzi na pace, mówiąc, że to niebezpieczne. Sprawdza prawo jazdy, kasuje łapówkę o wartości około trzech złotych i pozwala nam jechać dalej. Łapówki to ważne źródło dochodu policjantów, zarabiających około sto dolarów miesięcznie. A równocześnie źródło nadużyć.

Zagłębiając się w cudowny krajobraz: po jednej stronie góry zrębowe i kolejny wodospad, po drugiej sawanna, na której wyrastają od czasu do czasu małe wioseczki, każda złożona z nie więcej niż kilkunastu zaokrąglonych ziemianek.

## **Pożary, węże i lincz na kobiecie**

Trzy godziny później wjeżdżamy w dziki busz. Dzisiaj nie widać nad nim dymów, ale wiem, że często płonie – ludzie wypalają go, żeby sadzić kukurydzę, maniok, czasem bataty. Przecinamy też rezerwat Pian Upe – i tu zdarzają się podpalenia, również w wyniku działań władz rezerwatu. Administracja chce w ten sposób uprzedzić dzikie pożary oraz doprowadzić do szybszego odrodzenia się zieleni, aby zwierzęta nie migrowały.

Niby droga ma teraz trochę mniej dziur, ale ileż można siedzieć. Próbuję przekonać ścierpnięte pośladki, że warto. Wyprawy drogami bez asfaltu zawsze prowadziły mnie w fantastyczne miejsca, czy była to – tak bliska sercom wielu Polaków – Gruzja, czy wilgotna Sumatra albo zasługująca na osobną opowieść Nikaragua.

Mam wrażenie, że jadę jakimiś nieprzetartymi szlakami. Nie mogę znaleźć w internecie informacji, skąd właściwie zacząć wspinaczkę na najwyższy szczyt gór Kadam. Próbuję się

czegoś dowiedzieć od Ugandyjczyków, wypytuję tych w ciężarówce oraz wysyłam esemesy do znajomych. Wszyscy co rusz dają mi inne rady. „Jedź do Namalu”, „jedź do Nakapiripirit”... Więc dopytuję, czy ktoś z nich był w ogóle na górze? Okazuje się, że nie.

Czasem mija lub wyprzedza nas jakiś samochód. Nabieram wtedy powietrza i wstrzymuję oddech na minutę: to zazwyczaj wystarcza, żeby przetrwać największe tumany pyłu, bo przecież trudno zamknąć okna w tym upale. Wjeżdżamy w zamieszkane tereny, w końcu widać jakieś chatki, a dookoła nich szczelne ogrodzenia z patyków. Czyżby ochrona przed drapieżnikami? Jakies poruszenie, dzieciaki biegną. Do nas? Nie – gonią kobietę. W rękach różgi, chyba próbują ją uderzyć. Scena mignęła jak fragment filmu. Przypomina mi się historia Jagny z *Chłopów*. Jedziemy dalej.

Zapada zmrok. Nagle kierowca się zatrzymuje. Na drodze leży wąż. Prawdopodobnie to jajożyworodna żmija sykliwa. Ma w zwyczaju kąsać ofiarę, a później podążać za nią, aż ta padnie trupem. W trakcie ataku nie podnosi głowy, więc solidne buty, jak gumki, są dobrym zabezpieczeniem. Bez właściwej pomocy lekarskiej ukąszony człowiek umiera w ciągu paru dni. Nasza żmija leży nieruchomo, w jednej czwartej długości, licząc od głowy, ma okrągłe zgrubienie, co oznacza, że trawi właśnie kolację. Nie przejmuję się przejeżdżającymi autami. Kierowca ciężarówki rusza na nią. Proszę, aby jej nie zabijał. Facet uśmiecha się tylko i w ostatniej chwili wymija węża.

Choć jestem coraz bliżej tego odkrycia, nie dotarło do mnie jeszcze, że na afrykańskiej prowincji poczucie czasu nie funkcjonuje, mimo że pytania o termin czy godzinę niemal zawsze znajdują stanowczą odpowiedź – okazuje się, że tylko z uprzejmości. Tymczasem pokornie przyjmuję fakt, że po pięciu godzinach jazdy, która miała trwać najpierw dwie, a później trzy godziny, zatrzymujemy się na kolację.

Typowy afrykański bar: gołe ściany, plastikowe krzesła, drewniane stoły i energooszczędna żarówka bez żyrandola, waląca po oczach surowym białoniebieskim światłem. Gotowana w aluminiowym garnku fasola, a do tego *matoke* (te gotowane zielone banany), ryż albo poszo<sup>5</sup> (czyli papka z mąki kukurydzianej). Jesteśmy na takich peryferiach, że spodziewam się naprawdę dobrej ceny. Wychodzi na to, że dwa złote...

W sklepiu obok dostrzegam ładną dziewczynę. Półki wypełnia coca-cola oraz inne gazowane napoje, zwane tu, z angielska, *soda*. Dzika Afryka czy Azja – łatwiej kupić colę niż wodę kokosową. Pytam dziewczynę, czy mogę jej zrobić zdjęcie. Mówi, że tak i się odwraca.

Godzinę później chłopaki informują mnie, że pojedziemy objazdem, bo główna droga jest zbyt stroma i boją się, że im deski zlecą. Są takie dziury i pochyłości, że wlecemy się zatem jakieś pięć kilometrów na godzinę. Po trzydziestu minutach ciężarówka staje, a ekipa

<sup>5</sup> Z angielskiego posho (a w suahili: ugali), czyli prosta wersja rumuńskiej mamałygi.

wychodzi. Okazuje się, że jedna z desek na górze wysunęła się do tyłu. Dwóch mężczyzn rusza pieszo z powrotem szukać z latarką ewentualnych zgub. A myślałam, że jestem blisko celu...

Słyszę auto. Czyli to jednak nie takie pustkowia. Ktoś jeszcze jeździ o dwudziestej trzeciej. Taksówka! Czyli jeden z busików, których kierowcy mają w mało zachodnim zwyczaju zatrzymywać się, ilekroć ktoś na drodze machnie ręką. Bywa wtedy i tak, że samochód staje i czeka, aż wszystkie miejsca będą zajęte. Poza tym oprócz taksówkarza zazwyczaj jest też konduktor, który często dzieli fotel z którymś z pasażerów. Pechowcowi zniżka nie przysługuje. No, prawie jak w taksówce.

Decyduję się skorzystać z okazji i po chwili jadę z nimi. Okazuje się, że ciężarówka stanęła tylko dziesięć minut od mojego celu podróży, czyli ostatecznie Nakapiripirit. Proszę kierowcę o podwózkę pod jakiś hotel. Po takiej podróży pokój z łazienką i zimną wodą to niemal enklawa luksusu.

## **Kadam po raz pierwszy**

Wstaję około siódmej rano, krótko po wschodzie słońca, które jeszcze nie wychyliło się ponad rozciągnięty od wschodu do zachodu masyw gór Kadam. A może góry Kadam, jak sugeruje angielskie nazewnictwo. Z punktu widzenia turysty amatora wygląda jednak jak łańcuch górski.

Szukam informacji, skąd zacząć wspinaczkę. Generalnie nikt nie był na szczycie. Pytam w sklepie spożywczym. Abidi, śniady sprzedawca o bliskowschodnich rysach twarzy, uśmiecha się serdecznie za każdym razem, gdy udziela mi odpowiedzi. Na dodatek robi to z takim entuzjazmem, jakbyśmy rozmawiali o biciu rekordu Guinnessa.

– Tak, byłem tam – mówi – już ci wszystko powiem, jak trzeba: zapłacisz pół dolara, pojedziesz na motocyklu z moim kolegą, powspinasz się godzinę i będziesz na szczycie!

„Czyli nie trzy godziny, jeszcze lepiej” – myślę i choć brzmi to podejrzenie dobrze, przyjmuję ofertę.

Po chwili podskakuję już na siedzeniu motocykla. Przejeżdżamy przez busz kryjący pojedyncze chatki z trzcinowymi dachami i ścianami z wyschniętego błota. Jest już po dziewiątej, gdy kierowca się zatrzymuje.

– Dalej pieszo – mówi.

– Tylko którędy? – pytam, patrząc na rozstaje dróg.

– Poczekaj – odpowiada i zawraca beze mnie, a ja sprawdzam w telefonie wysokość nad poziomem morza. Tysiąc pięćset metrów, czyli jeszcze raz tyle, zanim będę na szczycie. Jakoś nie widzę możliwości, żeby to zrobić w godzinę.

Po paru minutach kierowca przywozi mężczyznę w wieku około czterdziestu lat, odzianego w koc w zielono-czarną kratę.

- Takie wycieczki to dobrze konsultować z władzami – mówi przybysz.

Jak się okazuje, rozmawiam z Joachimem, samym wodzem wioski Sukudik, zamieszkiwanej przez plemiona Pokot i Kadama<sup>6</sup>. Tłumaczę mu swoje zamiary i chęć podzielenia się wrażeniami z czytelnikami. Wódz sugeruje zatem wspinaczkę na majestatyczną górę Tepso, zwieńczoną w górnej części olbrzymim pionowym blokiem skalnym z pionowymi przecinkami. Sięga też po stary malutki telefon, aby znaleźć dla mnie przewodnika.

Po chwili prowadzi mnie do domu jakiejś rodziny. Na podwórku między ziemiankami wala się plastik. Włącza mi się misja edukowania o szkodliwości tego materiału. Wódz tłumaczy moje słowa z angielskiego na jeden z trzech używanych w okolicy języków – pokot, kadama albo karamodżong – nie potrafię jeszcze rozpoznać, który. Okazuje się, że wszyscy są zbyt zajęci, żeby zabrać mnie w góry.

Poszukiwania przewodnika trwają – w drodze do następnego gospodarstwa wchodzimy w dżunglę i wywołujemy poruszenie wśród jej mieszkańców. Czarno-białe gerezy abisyńskie szybko uciekają, skacząc z gałęzi na gałąź i ledwo pozwalając się dostrzec. Uwielbiam je. Długie, puszyste, białe ogony. Białe kitki przy policzkach na tle czarnej sierści. I ten smutny wyraz twarzy. Czy małpa może mieć twarz? Obserwując, jak opiekują się młodymi, trudno nie zauważyć ich podobieństwa do ludzi.

Szympansy też lubią gerezy. Czasem gonią się po lesie. Dwa szympansy skaczą po drzewach, a gereza ucieka. Jej przewaga szybko się zmniejsza, bo w przeciwieństwie do swoich człekokształtnych kuzynów ma tylko cztery palce, bez kciuka. Wtedy łatwo o błąd. Gdy gereza nie chwyci się odpowiednio gałęzi, spada. Na dole czeka już reszta szympanów, które otoczyły teren. Zjadają gerezę żywcem. Szympansy to zwierzęta najbliższe człowiekowi pod względem genetycznym i etologicznym – dzielimy około dziewięćdziesięciu ośmiu procent wspólnych genów.

Po krótkiej wspinaczce docieramy do kolejnej rodziny, mieszkającej na wysokości około 1700 metrów nad poziomem morza. Jej domostwo to tradycyjny zestaw: ziemianka i drewniany spichlerz na palach – konstrukcja, która ma zabezpieczać jedzenie przed termitami. Jest też prosta altanka chroniąca przed słońcem. Dookoła gospodarstwa krzaki manioku oraz... panel słoneczny, do którego kabelkami podpięte są baterie telefonów, które można szybko podmienić, gdy ta w aparacie padnie.

<sup>6</sup> Podobieństwo etniczne plemion Pokot i Kadama sprawia, że czasem trudne jest odróżnienie pochodzenia nawet dla miejscowych.



Wśród kilkorga mieszkańców jest Mark. Ma około trzydzieści lat, duże brązowe oczy, pomarszczone czoło i krótkie zakręcone włosy, które oddały już nieco pola zakolom. Wyróżnia go małe rozcięcie na środku wargi; może to stara blizna, a może taki urok. Joachim to jego wujek. Mark zgłasza się, żeby być moim przewodnikiem, ale chce mnie zabrać na inną górę, bo tej nie zna – więc się nie dogadamy. Nie spotkam później go przez dłuższy czas. Żaden z nas jeszcze nie wie, że od już w następnym roku zmienimy wzajemnie swoje życia.

Wódz z kolei nie ma więcej czasu, bo ma plany. Obiecuje, że ktoś za chwilę zejdzie z gór i mnie zabierze, ale nikt nie przychodzi. Zjawia się za to dwudziestotrzyletni mieszkaniec poprzednio odwiedzonej osady, tej, gdzie wszyscy byli zajęci. Ma najbardziej okrągłą twarz ze wszystkich widzianych ostatnio przeze mnie Ugandyczyków, jakby toczoną na kole garncarskim. Przedstawia się jako Ikar, niesie ze sobą zawiniątko z koca zawieszony na kijku. Zgłasza gotowość do wędrówki, więc zaczynamy negocjować cenę. Za tyle, ile proponuję, jest gotowy poprowadzić mnie tylko do podnóża wielkiej skały. Dalej miałbym iść sam. Dalsze pertraktacje ujawniają jednak, że to tak naprawdę nie kwestia ceny – nikt z nich po prostu nie wszedł na szczyt! Nie kryję zdumienia. Chcieli mnie zabrać na górę, na której nie byli? Porozumienie jakoś nam nie wychodzi, za to milczenie idzie bardzo dobrze.

Przerywam ciszę, pytając, czy może mnie zabrać na jakąś inną górę, taką, z której będzie dobry widok na majestatyczne Tepso. Okazuje się, że równowartość dwudziestu złotych, którą jestem w stanie wygospodarować z kończącej się gotówki, zapewni mi tylko przeprawę przez dżunglę do podnóża góry. Podobno stamtąd sobie poradzę, bo dalej będzie wydeptana dróżka na szczyt. Okej, idziemy!

## **Narkotyki zamiast jedzenia**

Piękno tropikalnego lasu szybko wynagradza logistyczne trudy poranka. Nie mija godzina, a Ikar mówi, że jest zmęczony. Oferuję mu orzeszki ziemne, bierze garść, wśród nich trafia się też jeden nerkowiec. Spogląda na niego nieufnie. Pyta, co to. Moje wyjaśnienia nie do końca go przekonują, ale, chyba z grzeczności, przyjmuje poczęstunek. Bierze garść orzeszków i... chowa je do kieszeni. Jak to? Ano nie będzie ich jadł, bo surowe mu szkodzą. Orzeszki są prażone, ale nie komentuję. Przewodnik wyciąga za to zielone liście i zaczyna je rzuć. Mówi, że dodadzą mu energii. Nazywa je mirą. To czuwaliczka jadalna, zawierająca katynon – alkaloid podobny chemicznie do niektórych pochodnych amfetaminy. Ma działanie stymulujące i redukuje uczucie głodu.

– Chce ci się pić? – pytam. Ja piję średnio co dwadzieścia minut, bo mimo wysokości jest ciepło, w końcu jesteśmy prawie na równiku.

- Nie - odpowiada zdawkowo. No tak, nie chce wody, bo tutaj pije się trzy razy dziennie, a on już najwyraźniej pił.

Mija kolejny kwadrans wspólnej wspinaczki, gdy trafiamy pod dużą stromizną skalną. Przewodnik śmiga do góry ze zwinnością małpki czy kozicy. W klapkach. A ja kombinuję jak pod Orlą Percią - tylko asekuracji brak. Ikar czasem tak pędzi, że aż gubię go wzrokiem. Wtedy wołam, a on na mnie czeka. Ale teraz nie widzę go nigdzie. Wołam raz, drugi.

- Tu jestem.

Słyszę głos gdzieś obok. Patrzę, a jego okrągła głowa ledwo wystaje z trawy. Trochę górską wycieczka, trochę zabawa w chowanego.

- Musimy zawrócić, bo tędy będzie za daleko - mówi w pewnym momencie.

W głowie włącza mi się lampka ostrzegawcza. Na kilkakrotnie zadawane pytanie, czy był kiedykolwiek na górze, zawsze odpowiada wymijająco, że zna drogę.

Dżungla się zagęszcza. Ikar toruje drogę. Nie ma ze sobą maczety, więc robi to kijem. Czasem pojawiają się prześwity, jakby wydeptane ścieżki, gdzie soczyście zielona roślinność trochę się przerzedza, by zaraz potem znów się zagęścić, testując naszą odporność na zadrapania. Część roślin ma kolce, by bronić się przed intruzami, a część haczyki i rzepy połączone z nasionami i pozwalające im zaczepić się o przechodniów, by ruszyć z nimi w podróż. Potrafią rozsiewać się nie tylko w innych partiach lasu, ale i po całym świecie. Stają się wtedy gatunkami allochtonicznymi (w przeciwieństwie do gatunków autochtonicznych), obcymi albo - chyba najciekawsze określenie - zawleczonymi.

Przedzieranie się przez krzaczory być może jest rozwojowe, ale wołam mieć pewność, że Ikar tu był i za chwilę nie będziemy się wracać, więc dopytuję o to.

- Znam drogę. - Mężczyzna rozwiewa moje wątpliwości.

Oprócz konieczności wytrzymywania ciągłych ukłuc wyzwaniem okazuje się też wspinaczka w sandałach. Wyjeżdżając na trzy dni relaksu z widokiem na wodospady Sipi, nie planowałem przedzierania się przez dziewiczy las. Wiedziałem, że sandały, a może wpadający do nich piach, będą mnie ocierać, więc już dzień wcześniej postanowiłem wykorzystać plastry. Tym razem jednak nie zalepiłem nimi otarć, bo i tak plastry szybko by odpadły, lecz podkleiłem te fragmenty materiału, które mnie ocierały, i to zdaje teraz egzamin. Choć wygląda dziwnie.

## **Czy możemy biec?**

Ikar ma czwórkę dzieci. Zastanawiam się, czy mają okrągłe głowy.

- I tyle ci wystarczy? - pytam.

- Tak.

Dopytuję, czy wie, jak to osiągnąć, bo ugandyjskie rodziny często liczą powyżej dziesięciorga członków, co moim zdaniem w takim ubogim kraju nie wpływa korzystnie na dobrostan dzieci. Tak, Ikar wie. Cisnę dalej – jak to wie? Odpowiada, że ma swoje naturalne metody. Mówię, że inni też takie stosują, a dzieci mają więcej, niż planowali.

– Ale ja wiem, jak to robić – odpowiada, idąc przodem i nawet się nie odwracając.

Mijają dwie godziny wędrówki. Pokazuje mi gęsty las i mówi, że on wraca, bo droga jest już prosta, więc sobie poradzę. Patrę przed siebie, żadnej ścieżki nie widzę, więc protestuję, oczywiście po angielsku.

– Wy Amerykanie jesteście bardzo samolubni – wypala, a ja czuję, że w ten sposób prosi o podwyżkę.

Idziemy dalej, ale mija kilka minut, a Ikar znowu chce wracać. Nie mam ochoty na dyskusje, na czym miałyby polegać prostota dalszej trasy, więc pytam, czy za równowartość kolejnych dwudziestu złotych doprowadzi mnie chociaż na punkt widokowy. To w sumie daje odpowiednik mniej więcej całej dniówki. Chłopak się zgadza.

Po jakimś czasie okazuje się, że aby tam dotrzeć, musimy teraz zejść w dół, do dolinki. Werbalizuję swoje obawy, czy dotrzemy na punkt widokowy. I czy on naprawdę tu był? Mówi, że zna drogę. Jar jest przecięty potokiem rozlanym na kilka małych strumyczków, z których chętnie korzystam, mimo że zabrałem ze sobą dwa litry wody. Liczne ciekły nawilżają las, który mnie oczarowuje, zatrzymując co chwilę, bym mógł zapisać tę chwilę na zdjęciu. To nie podoba się Ikarowi. Przecież miał mnie zabrać na górę, a nie czekać, aż zrobię fotki.

Do wysokości dwóch tysięcy metrów pojawiają się domki, czasem krowy, no i ich właściciele. To przedstawiciele ludu Kadama – gospodarze tych gór. Śpieszymy się, więc pozdrawiamy z wzajemnością tubylców, robię szybko parę zdjęć i ruszamy dalej.

Po pięciu godzinach wspinaczki urozmaiconej narzekaniami przewodnika docieramy do punktu widokowego na wysokości 2470 metrów nad poziomem morza. Pod nami przepaść, a na wprost piękne i zatrważające kilkusetmetrową płaską ścianą i postrzępionymi wierzchołkami Tepso, pozujące cierpliwie do zdjęcia dnia.

Myślę sobie, że gdy tylko podzielę się ze swoimi czytelnikami tymi zdjęciami, niektórzy będą chcieli przyjechać. Ale... przecież tu nie ma przewodników ani nawet wyraźnych ścieżek – to może skusić najwyżej jakichś szaleńców.

– Tam są ludzie – stwierdza Ikar i wskazuje miejsce jakieś sto metrów w linii prostej poniżej nas. Po chwili dostrzegam ku mojemu dużemu zaskoczeniu grupkę dzieci. Przewodnik coś do nich woła, po czym mówi, że zaraz przyjdą. Droga jest stroma, usłana ostrymi kamieniami i zeschniętymi krzakami. Po paru minutach dołącza do nas piątka dzieciaków wyglądających na nie więcej niż dziesięć lat.

Ikar robi za tłumacza. Są z plemienia Pokot. Mieszkają gdzieś daleko w wiosce na dole. Nie mają przy sobie nic poza zawiniętymi kocami, w których trzymają liście czuwaliczki, bo to dla niej koczują w górach. Mówią, że śpią po jaskiniach. Kiedy zbierają wystarczająco dużo listków, wrócą do wioski, aby sprzedać zbiory. Być może część trafi na eksport do Somalii lub Jemenu. W tym ostatnim czuwaliczkę, zwaną też qatem albo mirą, żuje dziewięćdziesiąt procent mężczyzn i siedemdziesiąt procent kobiet. Część nałogowo.

Po sprzedaniu liści dzieci kupią w zamian cukier i orzeszki ziemne. Może trochę odłożą dla rodziców. Roślina jest gorzka, więc często żuje się ją z orzeszkami lub cukrem. A co jeśli te orzeszki i cukier ułatwiają przyjmowanie czuwaliczki przez dzieciaki? Wtedy zapotrzebowanie na jedzenie jest mniejsze, bo alkaloidy w mirze dodają energii i redukują głód. Czy będą się nią narkotyzować? Czy już to im się zdarza? Czy się uzależnią, wpadną w błędne koło i będą tu wracać nie tylko w celach zarobkowych?

Nogi dzieci są całe w białych smugach – pamiątkach po kolcach roślin. Albo dzieciaki miały intensywne przedpołudnie, albo są już w górach parę dni. Ale jakie znaczenie mają te zadrapania, skoro część jest tylko w klapkach, a inne zupełnie boso – mimo kamieni, żwiru, ostrych skał, gałązek i kolców porzuconych przez rośliny oraz mocno kęsających mrówek.

Częstują dzieci orzeszkami. Najpierw próbują ich nieufnie, ale po chwili każde wyciąga rękę po dokładkę. Ikar mówi, że pierwszy raz widzą *mzungu* – białego człowieka.

Niezwykłe doświadczenie, ale za trzy godziny będzie zachód słońca, a przed nami jakieś cztery godziny schodzenia, jeśli zna się drogę. I tak sobie myślę, że jeśli Ikar zechce nadal być moim przewodnikiem, to czeka nas wiele przygód... Właśnie prosi dzieci o wskazanie drogi powrotnej. Ruszają z nami w stronę kolejnych stromych skał, po których zbiegają bez wysiłku, mimo że część jest boso. Może tak jest łatwiej?

Gdy kombinuję, jak zejść bezpiecznie w dół po niemal pionowym bloku skalnym, jeden z chłopców wymija mnie z impetem. Myślę, że chce mi pokazać zejście. Schyla się i... zrywa liście czuwaliczki. Robię mu zdjęcie. Liście zasłaniają mu częściowo twarz. Wstydzi się czy pozuje?

Po kwadransie wędrówki dzieciaki zostają, oprócz jednego. Będzie przewodnikiem mojego przewodnika. Ruszają żwawo do przodu, a ja robię zdjęcia promieni słońca przebijających się przez korony tropikalnego rzemiosła. Krótco po tym chłopiec oznajmia, że musi wracać do góry, póki jasno, żeby zdążyć jeszcze pozbiierać trochę liści. Ikar w podziękowaniu daje mu woreczek cukru. Jak w cyrku. W normalnych okolicznościach pewnie bym zaprotestował. Jakoś nie przekonuje mnie nagradzanie dzieci słodyczami. Zawieszam jednak swoje przekonania, bo to nie są normalne okoliczności. Pytam chłopca, czy za pieniądze mógłby nas jeszcze poprowadzić w dół. Nie, chce wracać zbierać liście.

- No to ja chcę od ciebie kupić te liście - mówię, ale dzieciak kręci głową. Zostawił swoje zawiniątko innym.

Schodzimy, a ja co chwilę oglądam się za siebie, bo słońce coraz intensywniej maluje góry w różach i pomarańczach, przycinając je długimi cieniami. Ikar nie ukrywa zniecierpliwienia, żąda drugiej części zapłaty. Płacę, a on nie chce wydać mi reszty. Stwierdza, że trasa była dłuższa, niż myślał. Parskam śmiechem podszytym irytacją. To może on powinien mi zapłacić, skoro nie znał drogi?

„A gdyby tak...” - w mojej głowie pojawia się myśl, jak wspaniałą przygodą byłoby wyznaczyć tu szlak. Ale to tylko moment, bo po chwili pomysł ustępuje miejsca wciąż powracającym pytaniom o to, czego właśnie doświadczyłem. Próbuję to umieścić w jakichś prostych ramach poznawczych. W Polsce gotuje się ziemniaki czy makaron. W Afryce - też ziemniaki. I bataty, maniok, ryż, i zielone banany. U nas pędzi się śliwownicę, tutaj - bimber z prosa. W Polsce dzieci chodzą do szkoły, tu - koczują w jaskiniach na wysokości przeszło dwóch tysięcy metrów i zbierają narkotyki.

Z rozmyślań wybija mnie przewodnik, znowu pytając, czy dalej mogę iść już sam albo czy możemy biec, bo chce zdążyć przed zmrokiem. Mówię, że bezpieczniej będzie iść powoli, a później z latarką, którą mam w telefonie. Patrzy na mnie jak na idiotę. Gdy dochodzimy do jakiegoś domostwa, żegnamy się i rozdzielamy.

Idę w dół wyraźną już ścieżką, więc wiem, że prędzej czy później dotrę z powrotem do wioski Sukudik, a stamtąd do Nakapiripirit, gdzie znajduje się hotel. Zapada zmrok, gdy mijam kobietę z dzieckiem siedzącą przy pojedynczej chatce. Pytam o drogę, a ona pokazuje mi ręką kierunek. Idę dalej ścieżką pośród gęstego buszu. Po chwili słyszę gdzieś przed sobą dzikie okrzyki. Z każdym krokiem coraz głośniejsze. Brzmią trochę jak zabawa, a trochę jak jakiś rytuał.

Ścieżka, którą idę, rozwidla się, jedna z odnóg prowadzi w stronę okrzyków. Są trochę niepokojące, ale górę bierze ciekawość, więc skręcam w ich stronę. Nagle słyszę nawoływanie z tyłu - kobieta pokazuje, żebym szedł drugą ścieżką. Zawracam, ale okrzyki i tak są coraz głośniejsze. Odbieram je bardziej pozytywnie niż złowrogo i nie wiem, dlaczego przypomina mi się jakaś filmowa kulinarna scena z wielkim garem w dziczy. Pociesza mnie myśl, że niedaleko jest przecież cywilizacja.

Zapraszamy do zakupu pełnej wersji książki na [www.zobek.pl](http://www.zobek.pl)